



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: OREINT SPIELBERGIEM PODSZYTY

Coraz bardziej irytująca wydaje się ta maniera Stevena Spielberga - kręcenie wciąż nowych „pastyzy” filmowych, owej ciągłej „zabawy” znanymi tematami i wątkami filmowymi, które genialny, choć może nie całkiem dorosły, wciąż „chłopięcy” twórca - bezustannie miesza i na własny sposób przyprawia w swym artystycznym tyglu: od „1941” poprzez „Poszukiwaczy zaginionej Arki” aż po „Indianę Jonesa”.

W tym ostatnim filmie - kolejnej porcji przygód nieustraszonego archeologa oraz poszukiwacza - przenosimy się w Orient. Najpierw do eleganckich lokali rozrywkowych Szanghaju z połowy lat trzydziestych, do Chin- „skażonych” europejską cywilizacją, a stamtąd... do Indii pogrążonych jeszcze w czasie dawno minionym. Do tych Indii ze stronic trzeciorzędnej, „zeszytowej” literatury - prastarego ładu, gdzie wśród pełnej słoni, węży i nietoperzy mrocznej dżungli wznoszą się tajemnicze pałace maharadzów, a otaczające nas powietrze drży od ponurych okrzyków Thugów, wyznawców krwiożerczej bogini Kali. Tam właśnie podąża Indiana Jones wraz ze swą towarzyszką, białą piosenkarką z Szanghaju, oraz małym przyjacielem, kilkuletnim chińskim chłopcem, Shortym, aby złemu maharadzy odebrać święty kamień Sankara, zrabowany dobrym mieszkańcom biednej górskiej wioski. Taki jest oto punkt wyjścia do całej serii fantastycznych przygód trójki bohaterów, do roztoczenia przed oczyma widzów wachlarza niesamowitych scen z wnętrza świątyni bogini Kali, do mrozących krew w żyłach pojedynków i dramatycznych ucieczek mrocznymi, podziemnymi korytarzami.... Rzecz z pogranicza literackiej oraz filmowej szmiry? Z pewnością. A jednak...

A jednak - coś w tym jest! Jakaś swoista „poezja kina”, jakiś ekstrakt istoty kina, owej wspaniałej i tajemniczej latarni czarnoksiężskiej, która w ciemnościach kinowych sal przenosiła - i nadal przenosi - widzów w baśniowy, barwny i tajemniczy świat nieznanych łądów, epok i ludzi... To wszystko spełnia się w filmach „Spielbergiem podszytych”.

Spielberg jest nie tylko „dużym, genialnym dzieckiem kina”, jak się o nim mówi. Dzieckiem, dla którego kino jest barwną zabawką. Ten zbliżający się do czterdziestki mężczyzna jest może raczej ciągle dorastającym chłopcem, który wciąż śni na temat przygód filmowych bohaterów, jakie oglądał i którymi żył - przed laty. W dzieciństwie i w latach

chłopięcych - w małych, prowincjonalnych salkach kinowych, gdy na ekranie migotał jakiś wyciągnięty z filmowego lamusa „Gunga Din” Stevensa jakiegoś „Żółte cienie”, jakiś „Zaginiony horyzont” niezapamiętanego reżysera, w którym samolot umykający z Chin w czasie rewolucyjnych zamieszek rozbija się w Himalajach, a jego pasażerowie, cudem uratowani, trafiają do odciętej od świata wioski w głębokiej dolinie. Tam żyją biali zakonnicy a piękna dziewczyna obdarza miłością bohatera filmu...

Wszystko to przeżywalismy kiedyś sami. I te same, oraz podobne, urywki filmów, fragmenty kinowych doznań i przeżyć, przyblakłe, wyrwane z kontekstu, ale wciąż żywe i natrętnie przypominające o swym istnieniu, kłębią się w naszej pamięci: „jak to było?”, „skąd on się tam wziął?”, „jak to było później: czy w końcu do niej wrócił?”, „z jakiego to filmu?”.

Spielberg nie tylko kręci filmy, on przede wszystkim żyje kinem. Kino nie jest dla niego tylko pracą lub „twórczością”, kino jest po prostu jego życiem. Lubi się w to życie zagłębiać, wracać w jego przeszłość, przeżywać po raz wtóry swoje chłopięce doznania. Ale już nie - z pozycji widza, lecz stojącego za kamerą artysty, mogącego ponownie formować i urabiać własnymi rękami tamten dawny, raz już niegdysz smakowany, wspaniały świat. Dlatego tyle w filmach Spielberga nostalgii i tyle w nich, zazwyczaj, dzieci. Dlatego, w sumie, tak niewiele w nich jawnej erotyki. A tak dużo - dowcipnych sytuacji, różnorodnych „kopsów” i podstawień nóg (także - w przenośni), z których wychodzą zwycięsko dziewięć-, dziesięcioletni chłopcy.

Dla dorosłych widzów jest przeznaczona w „Indiana Jonesie” męska uroda Harrisona Forda oraz porywająca kobiecość Kate Capshaw. Ale widzów najmłodszych będzie interesował przede wszystkim wątek małego, sprytnego i pełnego odwagi Chińczyka, Shorty'ego, walczącego zawzięcie na pięści ze swoim rówieśnikiem, „niedobrym chłopcem”, małym maharadzą, który w podziemiach pałacu więzi setki innych małych chłopców porwanych matkom i zagnanych do szukania drogocennych diamentów.

A że dobry bóg Sziwa czuwa nad swoimi dużymi i małymi bohaterami (a zapewne także nad Stevenem Spielbergiem i jego sztuką) - więc wszystko kończy się dobrze. Mimo wszelakich logicznych oraz artystycznych niekonsekwencji „Indyana Jonesa”, pewnych dłuższych „puszczowych” scen. Toteż... wychodzimy z kina zadowoleni oraz dziwnie odmłodzeni.